

Gipsowy Sabata

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

W starej powiastce, której autor nie chciał swym pisaniem reperować świata, zmęczony człowiek czyta książkę o zbrodni, co miała zreperować kulawe życie kochanków.

Oto w gabinecie na piętrze, plecami do drzwi siedząc w obitym zielonym aksamitem fotelu pod oknem z widokiem na aleję parku, zmęczony człowiek czyta ostatni rozdział. Jak wyznaje autor starej powiastki: „*Niemal perwersyjnie rozkoszował się świadomością, iż każda linia odrywa go od tego, co go otacza*”. Smakuje zmyslenie. Im mocniej tkwi w iluzji książki – tym słabiej tkwi w rzeczywistości.

Czytając – podgląda ostatnie spotkanie kochanków, widzi sztylet na piersi młodzieńca, śledzi jego kroki przez las, który zmienia się w topolową aleję. Dalej czytając – widzi sien, słyszy stapanie po schodach na piętro. Tam wreszcie – drzwi do napisanego gabinetu. I wtedy... Ostatnie słowa autora starej powiastki urywają się nagle. „*Wtedy sztylet w rękę, (...) oparcie fotela wybitego zielonym aksamitem, głowa człowieka czytającego w fotelu książkę*”.

Fikcja zawisa nad prawdą. Myślałem, że już nigdy nie streszczę „Ciągłości parków” Julio Cortazara, że nie opowiem historii o człowieku, co czyta o sztylcie zastygającym nad jego karkiem w chwili, gdy on czyta o sztylcie zawisającym... Myślałem, że teatr nigdy już nie da powodu do przywołania tego przez Cortazara sportretowanego płaszu fikcji z rzeczywistością. Złe myślałem.

Na Scenie Pod Ratuszem Piotr Jędrzejasa wyreżyserował tekst Michała Walczaka „Biedny ja, suka i jej nowy koleś”, a ja, by sekret przedstawienia musnąć, wyżej przywołałem „Ciągłość parków”. Rzecz jasna, kto pójdzie i zobaczy – a radzę! – ten setki innych literackich „aniołów stróżów” opowieści Walczaka i Jędrzejasa znajdzie, bo tych, co próbowali zgłębić sekret konaszaków fikcji z rzeczywistością, jest mrowie. I rzecz równie jasna – większość z widzów po przedstawieniu krzyknie: Luigi Pirandello i jego „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora”! Będą mieli świętą rację.

Z bezczelnością godną plagiatora kuriozalnego, bo otwarcie szczycącego się swą sztuką małpiarską, Walczak kalkuluje istotę „Sześciu postaci...”.

Trzem postaciom – kobiecie i panom – każe czekać na fabułę, która usprawiedliwi ich istnienie. Póki co bosci, surowi, bredzący nieskładnie – wypatrują sensu, modlą się o opowieść, czekają, aż przeznaczony im los zacznie się ziszczać. I jak u Pirandella groteskowe gry szybko stają się seansem ciemnych pytań o tożsamość, o dławiający intymność codzienny teatr masek, o igraszki pozorów, o możliwość uchwylenia swojej prawdy.

Oczywiście, historia wreszcie przychodzi. Musi. W końcu powiedziane jest: na początku by-

ło słowo. Jeśli świat jest ucieleśnieniem bujdy Wielkiego Narratora, to i trzy golemu sceniczne: grany przez Tadeusza Łomnickiego Biedny ja, Błażej Wójcik jako Jej nowy koleś i Aneta Słowińska w roli Suki – doczekają fabuły przeznaczonej tylko dla nich. Wzują buty fikcji i zaczętną rozkręcać wyspany przez narratora z palca romans, na który są skazani.

Sztuczność zacznie nabierać rumieńców, tempa, pieprzności. Suka przelazie będzie z łap jednego do łap drugiego. Zazdrość, bez mała wprost z ulicy wzięta zazdrość zagości tu, w teatralnej fikcji trojga sztucznych. Ba, w scenie, w której Biedny ja i Jej nowy koleś wymieniają się świętymi krzyżykami, fikcyjny romans osiągnie intensywność godną legendarnej sceny „Idioty” Dostojewskiego, kiedy to Myszkini i Rogożyn wymieniają się świętymi znakami tuż nad trupem Nastazji Filipownej. Tak. Tyle że dokładnie w tej samej sekundzie, w której prawda krzyżyków i miłości nabiera twardości marmuru – Łomnicki i Wójcik jednym tikiem, mrugnięciem, grymasem, biorą marmurową powagę sceny w nawias jawnej, koturnowej sztuczności.

Tak jest u Jędrzejasa ciągle. Miłosna historia trojga wciąż osiąga poziom najprawdziwszej rzeczywistości – i natychmiast lądzuje w niwelującym pychę prawdy jarmarczonym świecie nieskrywawanego karnawału scenicznego. Ta gra, cyrkowo przez Słowińską, Łomnickiego i Wójcika odegrana odwieczna gra iluzji z rzeczywistością, prestidigitatorstwa bólu z bólem z życia wziętym, teatru ze światem – jaki ma finał? Oto prawie przez cały czas z boku sceny siedzi i gadaniem swym za wszystkie sznurki historii pociąga groteskowo długi jegośność cały w bielach isticie gipsowych. Kiczowaty handlarz odpustowymi dewocjonaliami? Nie. To narrator. Odpustowy opowiadacz losów.

Właśnie tu jest czerni seansu Jędrzejasa. Oto bólem trojga postaci uwikłanych w miłość bez szans na szczęście rządzi biały, kiczowaty bajarz. Łza prawie prawdziwa jest we władaniu jakiegoś gipsowego Sabaty, żalostnego jak w niedzielne południa figurki świętych na straganach przed prowincjonalnymi kościołami. Na tym polega ciemne sedno seansu Jędrzejasa i seansu tego gorycz.

Bywa, że piękne historie opowiada człowiecza nędza. Często ten, co wyszeptuje fabułę, jest wstydem dla szeptu, ale czy to powód, by gardzić baśnią? U Jędrzejasa gipsowy Sabata każe fikcji w finale wrócić do punktu wyjścia – odwieczna gra teatru ze światem nie ma rozstrzygnięcia. Podobnie w „Ciągłości parków”. Sztylet nie opadnie ani jutro, ani nigdy, bo jutro będzie tak, jak zwykle. Zmęczony człowiek znów otworzy książkę na ostatnim rozdziale i zacznie czytać, aż napisany sztylet znów zastygnie nad czytającą głową.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. Michał Walczak „Biedny ja, suka i jej nowy koleś”. Reżyseria Piotr Jędrzejasa. Scenografia i kostiumy Marcin Chlanda.